XXIII. Kraków, 15 sierpnia 1920 r. Nr. 16.



„BOCIAN"

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie: z przes. poczt. 28 M. 50 f. Do Ameryki rocznie 6 dolarów.

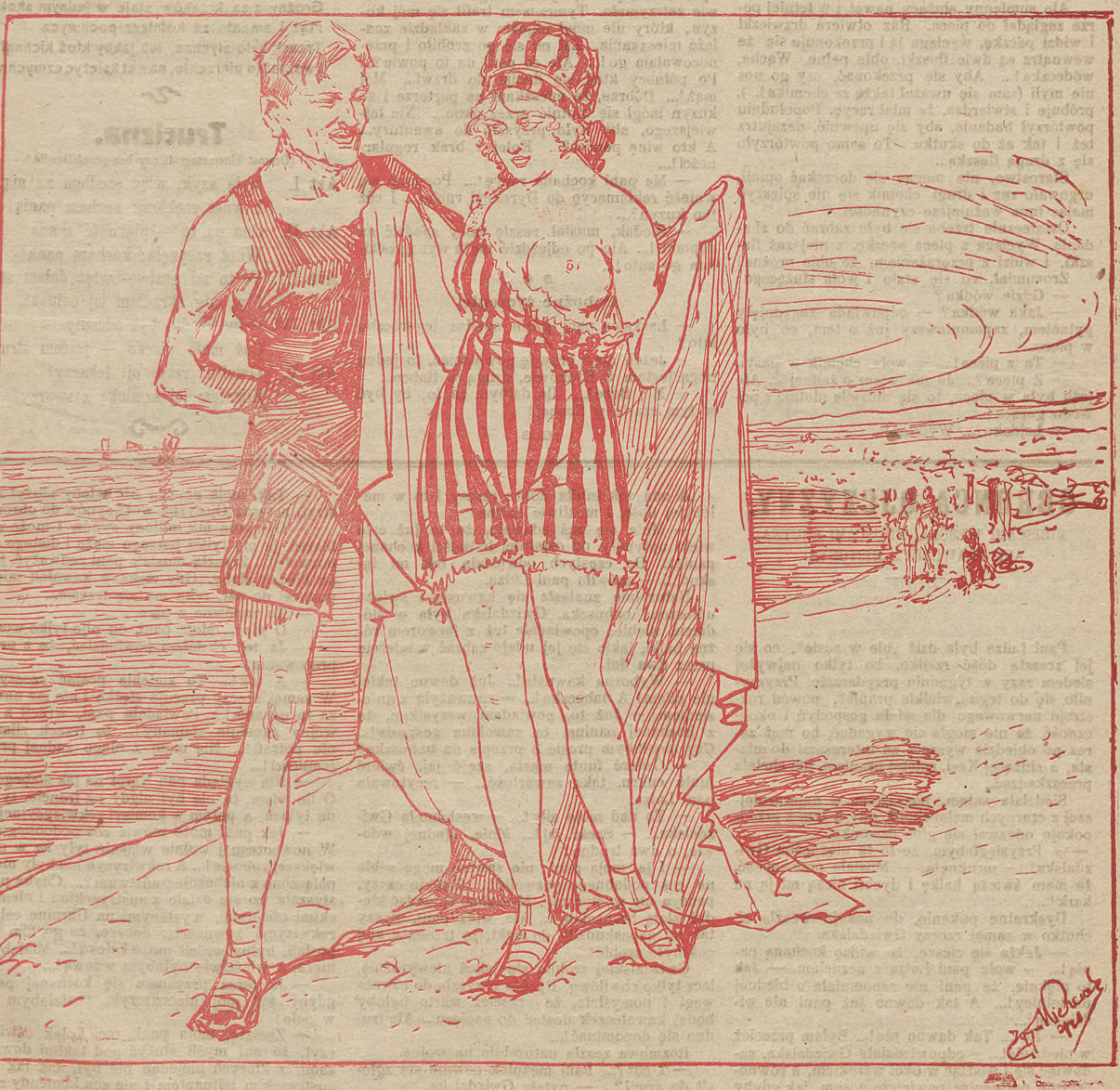
ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKÓW XV., ul. Kazimierza W. 93 (dom własny). Telefon Nr. 619

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.

Wyłączne zastępstwo i główny skład na Lwów w biurze K. BUCHSTABA, ul. Karola Ludwika 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. Biuro dzienników „Promień", Łódź, Piotrkowska 81.

Numer pojedynczy 5 Marek. Redaktor: K. Krumłowski. Numer pojedynczy 5 Marek.



On: Wyglądasz pani jak Diana!
Ona (oburzona): Wstydź się pan! Jak można człowieka do psa porównywać!



Najpewniejszy dowód.

(Zdarzenie prawdziwe).

Przed laty, gdy w Krakowie nie było jeszcze Zakładu badania środków spożywczych, nadesłało któreś ze starostw galicyjskich do jednego ze znanych naszych chemików dwie flaszki wódki, zakwestyonowane u jakiegoś szynkarza, z prośbą o rozbiór chemiczny.

Chemik miał w swem laboratoryum służącego, bardzo pracowitego, ale odznaczającego się tem, że alkoholu nie znosił. Ilekroć wpadł mu pod rękę, niszczył go, ale w ten sposób, że go wypijał, aby się dar Boży nie marnował.

Znając dobrze swego pracownika, a nie mogąc zabrać się zaraz do analizy, schował chemik skrzynkę, ponieważ to było lato, do pieca.

Ale sumienny służący nawet i w letniej porze zaglądał do pieca. Raz otwiera drzwiczki i widzi paczkę, wyciąga ją i przekonuje się że wewnątrz są dwie flaszki, obie pełne. Wącha, wódeczka!... Aby się przekonać, czy go nos nie myli (sam się uważał także za chemika!...), próbuje i stwierdza, że miał racyę. Popołudniu powtórzył badanie, aby się upewnić, nazajutrz też i tak aż do skutku. To samo powtórzyło się z drugą flaszką...

Starostwo, nie mogąc się doczekać opinii, urgowało raz i drugi, chemik się nie spieszył, mając inne ważniejsze czynności.

Ostatecznie trzeba się było zabrać do zbadania. Wyciąga z pieca paczkę, z niej zaś flaszki, i widzi z przerażeniem, że obie próżne!

Zrozumiał, co się stało i woła służącego:

— Gdzie wódka?

— Jaka wódka? — odpowiada zagadnięty pytaniem, zapomniawszy już o tem, co było w piecu.

— Ta z pieca!... — woła chemik w pasyi.

— Z pieca?... Ja nie wiem o żadnej!... Ale jeśli była w piecu, to się musiała ulotnić z powodu gorąca!...

— Łajdaku!... Wypiłeś!...

Służący się bronił, ostatecznie musiał się przyznać, wiedząc zresztą o tem bardzo dobrze, że poczciwy profesor głowy mu nie urwie.

— I cóż ja teraz pocznę?... — narzekał chemik — Dyabli wiedzieli, że on nawet i w lecie zaglądą do pieca!...

Po chwili wpadł widocznie profesor na jakiś pomysł, i zapytał:

— Ale ci nie zaszkodziła?

— Nie, panie profesorze!... Bardzo była dobra!... O ile pamiętam, to jedna była pomarańczowa, a druga wiśnióweczka...

— No dobrze!... Skoro ci nie zaszkodziła, napiszemy do starostwa, że nie zawierała żadnych szkodliwych składników!...

Kłopoty kuracyuszki.

— Jakoś pani nie świetnie wygląda...

— Ach, moja pani, ten brak regularności daje mi się we znaki!

— A nie udała się pani do lekarza?

— Co mi lekarz pomoże?... Tu rozchodzi się o regularność pociągów, zwłaszcza tych kominiarskich!... Mój mąż przyjeżdża zwykle na niedzielę, ostatnim pociągiem, do Krynicy. I w ubiegłą niedzielę czekałam nań, a gdy go nie było widać, pewną byłam, iż go coś w Krakowie zatrzymało. Tymczasem trafił się mój kuzyn, który nie mógł nigdzie w zakładzie znaleźć mieszkania. Żal mi się go zrobiło i przenocowałam go!... Ale co pani na to powie?... Po północy ktoś się dobija do drzwi... Mój mąż!... Dobrze, że mieszkam na parterze i że kuzyn mógł się ulotnić przez okno... Nic łatwiejszego, aby było przyszło do awantury... A kto winę ponosi?... Kolej i brak regularności!...

— Ma pani kochana racyę!... Powinno się wnieść reklamacyę do Dyrekcyi ruchu... I cóż ten kuzyn?...

— Biedak, musiał resztę nocy spędzić na deptaku!... Ale po odjeździe męża wynagrodziłam go suto!...

⊚ ⊚

Pobożne życzenie.

— Łaskawa pani gdzie spędza tegoroczne lato?

— Jeżeli mam prawdę powiedzieć, to jedną nogą jestem w Krakowie, drugą w Rabce...

— Mój Boże!... Ile dałbym za to, by być w tym czasie w Suchej!

⊚ ⊚

Romans nocny.

Już zaszedł księżyc jak cukiernik blady
Ponad ustronnym zaułkiem Plantacyi
A tak pachniało jak słoik pomady,
Jakby aptekarz wisiał na akacyi
I słowik trylów wylewał kaskady
O skali cudnej, wysokiej tonacyi
I w taki wieczór uroczy i cichy
Czuwa ich dwoje... samotnych jak mnichy.
On jej rączęta w swoich dłoniach pieści,
Ona go czułem obdarza spojrzeniem
Wietrzyk swawolnie z jej szatą szeleści
Oboje jednem owiani marzeniem
Słów nie szukają, ale za to treści,
Która roskosznem przejmuje ich drżeniem.
Księżyc za obłok ukrył twarz pyzatą
Zda się z zazdrości nie chce patrzeć na to.
Większy zazdrośnik stokroć od księżyca
Mąż tkliwą parę dawno ma na oku
I wnet się straszna podnosi prawica,
Groźny z za krzaków staje w jednym skoku
Mąż i amanta za kołnierz pochwyca
Trzask było słychać, lub jakby ktoś kichnął —
I wszystko pierzchło, nawet księżyc czmychnął.

Trucizna.

(Dramat kinematograficzny bez prześcieradła.)

Akt I. Była szyk, więc szedłem za nią
I wnet rzekłem: kocham panią!
Akt II. Ona na to — piękność znana
Wnet szepnęła: kocham pana!
Akt III. W to mi graj — więc dałem susa
I w mig skradłem jej całusa!
Akt IV. Całus słodki był odczuty
Coś mnie piecze — jestem struty.
Akt V. Gwałtu! rety! oj! lekarzy!
Zlizałem jej szminkę z twarzy!

OBRONCA OJCZYZNY.

MIEJSCAMI WESOŁA, MIEJSCAMI SMUTNA, ALE PRAWDZIWA HISTORYA.

Pani Luiza była dziś „nie w sosie“, co się jej zresztą dość rzadko, bo tylko najwyżej siedem razy w tygodniu przydarzało. Przyczyniło się do tego „wielkie pranie“, powód rozstroju nerwowego dla wielu gospodyń i okoliczność, że nie mogła się wygadać, bo mąż zaraz po obiedzie wyszedł za interesami do miasta, a służącej Kasi, zajętej praniem, nie chciała przeszkadzać.

Siedziała zatem, pogrążona w najczarniejszej z czarnych melancholii, gdy w tem z przedpokoju odezwał się głos dzwonka.

— Przysięgłabym, że to ta nieznośna Gwizdalska! — mruknęła. — Musiała przewąchać, że mam świeżą halkę i dyabli niosą mi ją na kark!...

Dyskretne pukanie, do pokoju weszła cichutko w samej rzeczy Gwizdalska.

— Jakże się cieszę, że widzę kochaną panią!... — woła pani Luiza z uczuciem. — Jak to pięknie, że pani nie zapomniała o biednej pustelnicy!... A tak dawno już pani nie widziałam!...

— No!... Tak dawno nie!... Byłam przecież w niedzielę!... — odpowiedziała Gwizdalska, sadowiąc się i wodząc w okół wzrokiem, a równocześnie pociągając powietrze nosem, jak gdyby chciała się przekonać, czy nie pachnie „coś dobrego“...

A ona tak lubiła dobre rzeczy i to w maleńkiej ilości i możliwie darmo!

— Mnie się zaś zdawało, że to już całe wieki upłynęły od ostatniej bytności kochanej pani!... Do częstych odwiedzin tak mi tęskno!... — mówiła pani Luiza.

Naturalnie zualazła się kawusia i świeżo upieczona babuszka. Gwizdalska była w siódmem niebie, opowiadała też z ferworem różne bajki, jakie się jej udało zebrać w mieście przez dwa dni.

— Wyborna kawusia!.. Już dawno takiej nie piłam! A babeczka!... — zauważyła z uniesieniem. — Już to, powiadam wszystkim, że z kochanej paniusi to zawołana gosposia!... Czy mogłabym prosić o przepis na babuszkę?

— Ćwierć funta masła, sześć jaj, ćwierć funta cukru, taka zawartość... — recytowała pani Luiza.

— To nad moje siły!... — westchnęła Gwizdalska... — Sześć jaj!... Mnie, biednej wdowie, o dwa trudno!

— I ja, moja pani, nie zawsze mogę sobie na coś podobnego pozwolić!... Ciężkie czasy, pensya nie wystarcza... Musiałam sprzedać kiedyś złotą bransoletę!... Ale, widzi pani, myszy tak mi napaskudziły do mąki, że trzeba z niej coś było zrobić!...

Gwizdalskiej zrobiło się jakoś niewyraźnie, lecz tylko chwilowo. Rychło przyszła do równowagi i pomyślała, że przecież warto byłoby bodaj kawałeczek dostać do papieru... Ale trudno się dopominać!...

Rozmowa zeszła naturalnie na wojnę.

— I cóż?... Pani mężulek pewnie się zgłosił do armii?... — pytała Gwizdalska.

— O! nie! — Pani Luiza na to. — Mało to nacierpiał się przez cztery lata?

— Tak, moja pani!... Ale wtedy służył Austryi, a teraz Ojczyzna woła synów do obrony!

— Ojczyzna ma miliony synów i może wybierać, ja ma tylko jednego męża i dlatego nie pozwolę!... Zresztą musiała pani zauważyć, jaki on biedak słaby. Gdy siekany kawałek mięsa podnosi do ust, ręka mu się trzęsie...

— To zapewne z prze...

— O nie!... Moja pani, on pije tylko wodę!

— Ja też chciałam powiedzieć, że z przepracowania!

— A tak!... To zmienia postać rzeczy!... W samej rzeczy pracuje ciężko i nie ma nawet za to uznania!... Powiadam pani, wrócił z tej wojny zupełnie złamany!... to trzech zliczyć nie potrafi!... Nie mam z niego żadnej przyjemności!...

— Nie wygląda pan Karol na tak słabego!... O ile wiem, to nie był nigdy na froncie, tylko na tyłach, a potem w komisyi rekwizycyjnej!...

— Jak pani może mówić coś podobnego!... W nowoczesnej wojnie właśnie tyły są w największej robocie!... A rekwizycye nie były może połączone z niebezpieczeństwem?... Chyba pani słyszała, co się działo z austryackimi i niemieckimi oficerami, wysłanymi na Ukrainę celem rekwizycyi żywności... dobrze, że go tam nie posłali, byłby wrócił może kaleką!... Miałabym męża, a właściwie byłabym wdową!...

— Ja teraz przyznam się kochanej pani, gdyby żył mój nieboszczyk, posłałabym go w pole!

— Zresztą, moja pani, mój Lolek oświadczył, że ani myśli służyć pod takimi dowódcami, z których niejeden nie był, tak jak on, austryackim leitnantem i nie zna komendy niemieckiej!... Chyba gdyby go zrobili jenerałem, zgodziłby się może... Chodziłybyśmy oboje cały

W mleczarni.

Wszedł do mleczarni chłopiec szyk
I krzyknął: *proszę kwaszny mlik*
A potem przyszedł drugi młody
I krzyknął: *proszę o dwie lody!*

Weszły trzy panny w czas gorący
Z upału buzie im pobladły
I zawołały: *mlik stojący*
I dwa przyjdzie mlíki szadły!
A nawiasowo: Ta lingwistyka
Była w cukierni Michalika!

Miał szczęście!

Ten Józej biblijny to jednak miał szczęście!... Pani Putyfarowa urwała mu tylko połę płaszcza, kto inny byłby z pewnością gorzej na tem wyszedł!...

— Bo i kto widział w płaszczu wybierać się się w konkury!...

Trafne określenie.

— Wiesz?... Masz tak rzadką minę, jak handlarz oryginalnych win węgierskich, gdy się znajdzie na jakiem zebraniu między dyrektorem wodociągu i chemikiem sądowym, a naprzeciw ma prokuratora!

Siła przyzwyczajenia.

Pan Jan, sprzykrzywszy sobie stan starokawalerski, ożenił się, ale trafił, jak się to zwykle tym zdarza, którzy długo szukają — dość niefortunnie. Wziął sobie towarzyszkę życia o dość mglistej przeszłości.

Ślub, wesele itd. odbyły się zupełnie w porządku. Rano, po pierwszej wspólnie spędzonej nocy, idąc do zajęcia, wręcza pan Jan małżonce pewną kwotę na domowe wydatki, a ta, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, wdzięcznym ruchem chowa je za... pończochę i mówi:

— A wrócisz jeszcze, kotku?...





Uznanie dla humorystyki.

— Niech sobie ludzie mówią, co chcą, ja twierdzę, że humorystyka jest godna poparcia!... Stale kupuję też wszystkie pisma humorystyczne... Słyszałeś chyba, że ktoś tam chorował na wrzód w gardle, lekarze już go opuścili, a on mimo to, a może dzięki temu, wyzdrowiał... Opowiadano przy jego łożu coś wesołego; roześmiał się, wrzód pękł i był ocalony!... Ale to jeszcze nic w porównaniu z tem, co się stało z moją teściową!... Cierpiała też na wrzód w gardle, a stan jej był bardzo poważny... Raz w swej chorobie dorwała gdzieś numer „Bociana" i jak się nie zacznie śmiać... Wrzód pękł, i...

— I wyzdrowiała!

— Ależ nie!... W trzy dni potem odprowadziliśmy ją na Rakowice. I od tego czasu jestem takim zwolennikiem humorystyki!...

Flegmatyk.

— Panie Kohn!... Spiesz się pan, pali się w tym domu, w którym pan mieszka!...

— Poco ja się mam spieszyć?... Ja mam klucz od mieszkania w kieszeni, to ogień się tam nie dostanie!...

I to prawda.

— Mają racyę ludzie, twierdząc, że nie zawsze można utrzymać zimną krew!... — rzekł do siebie rak, gdy się znalazł w garnku z gorącą wodą.

Wytłómaczyła.

(Rozmowa dwu pół-dziewic).

— Któż to jest ten facet, z którym byłaś wczoraj w Esplanadzie?

— To mój narzeczony.

— Jak się nazywa?...

— Tego ci nie mogę powiedzieć, bo nie wiem. Zauważyłam jedynie, że bieliznę miał znaczoną „W. E."...

Kłopot aptekarza.

— Powiadam panu, że można zwaryować!... Pogniewał się na mnie nasz doktor i zapisuje chorym wyłącznie kwaśne mleko i świeże powietrze!...

Zaciekły Mormon.

— Wiesz, zazdroszczę tym Mormonom! Czterdzieści żon!

— Ale pamiętaj o tem, że i czterdzieści teściowych!

— Tak, to prawda!... Ale jeśli ich będzie czterdzieści, będą się gryźć między sobą, a ja zostanę w spokoju.

W drogueryi.

— Czy nie mogłabym prosić o trochę kleju? Obeszłam już wszystkie apteki i nie mogę nigdzie dostać, a mojemu mężowi kazał lekarz podać kleik...

— Niestety i ja nie mogę służyć!... Ale może pani dobrodziejka weźmie tubkę syndotikonu... Działa równie skutecznie!

Znam ja cukiernię....

W sukiennicach znam cukiernię
Co swych zasad strzeże wiernie,
Łupić gości,
Aż do spodni,
Aż do gaci,
Aż do kości!...
Kto chce przyjść tu — niechaj płaci!
Biała kawa — dość ciekawie,
Mleka bowiem nie ma w kawie
I możesz być bez obawy,
Że w tej kawie nie ma kawy.
Cena kpi ze wszystkich cen:
Marek trzy, dwadzieścia *fen!...*
Czy też o tem — pytam się
Urząd walki z lichą — wie?!...



dzień koło odwachu, aby wojsko stawało pod broń... Wyobrażam sobie, jak wściekałaby się Bajczarska, że ja jestem generałową, a nie ona... Ale to się nie opłaci! Polscy jenerałowie nie noszą kapeluszy z zielonemi piórami!...

— I nie stoi im cały dzień, jak austryackim!

— Co takiego?

— Szyldwach...

— Gdyby jednak Lolek w samej rzeczy został jenerałem, musiałabym do mojego nowego kapelusza, który kupiłam za dwa tysiące marek, dodać zielone pióra!... Niech ludzie widzą, że to idzie pani jenerałowa!... Nie zrobią go jenerałem, niech siedzi w domu!...

— Szkoda, na froncie mógłby się odznaczyć!

Dość, moja pani, mordował się, i cóż mu z tego?... On, moja pani, sam jeden, tylko przy pomocy swego służącego, wziął do niewoli cały pułk kozaków z armatami, karabinami maszynowymi...

— Czy być może?... Nic o tem nie czytałam w komunikatach.

— Bo o takich cichych bohaterach, jak mój Lolek, nie piszą!... Trzeba było pójść do redakcyi, ładnie się ukłonić i znów przeprosić, to byliby napisali!... Ale on tego nie lubi!...

— Więc pan Karol widział prawdziwych Moskali?...

— Naturalnie!... Mało ich to szło z obozu w Dąbiu na roboty?... Codziennie przechodziły koło mych okien całe oddziały!...

— Ale ja miałam na myśli prawdziwych Moskali, tam w polu!

— A cóż to?... Czy ci są może nie prawdziwi?... I oni także byli w polu... Biedny Lolek dość się namęczył, teraz niech idą młodzi, a on odpocznie...

— Nie wygląda bynajmniej na potrzebującego spoczynku!...

— Tak się pani wydaje!... I mnie mówią ludzie, że dobrze wyglądam, a ja przecież widzę, że na mnie tylko skóra i kości!... Widziała pani tę bliznę na twarzy męża?... To od rosyjskiej piki!... Chciał go łajdak Kozak przebić, ale on go zastrzelił... I byłabym wdową...

Pociągnęła nosem parę razy, co było znakiem, że chce płakać, ale na czas przypomniała sobie, że chustkę zostawiła w szlafroku, a szukać się jej nie chciało...

— Wie pani! — mówiła Gwizdalska po chwili milczenia. — Ja dawniej byłam pewna, że Moskale nie mają głów...

— Także coś!... A na czemże nosiliby czapki?... Skądże pani wpadła na podobną myśl?...

— Bo to, widzi pani, dawniej kupowałam na kolacyę moskale po dwa centy, więc sądziłam, że skoro one są bez głów, to i prawdziwi Moskale ich nie mają!... I cóż pan Karol opowiadał jeszcze o wojnie?

— Tego, choć lubię i umiem mówić dużo i prędko nie powtórzyłabym pani kochanej i za tydzień!... W największem niebezpieczeństwie był wtedy, gdy go kula z trzydziestocentymetrowego moździerza ugodziła w samę piersi!...

— Co pani mówi!... To z moździerza można i strzelać?...

— Pokażę pani jego płaszcz, w którym był wtedy!... Przestrzelony na wylot!... Kaziu!...

Zjawiła się Kazia i na rozkaz pani przyniosła płaszcz wojskowy, w samej rzeczy z dziurą na piersiach.

— Ależ to od moli!... — zauważyła Gwizdalska.

— Niechże pani mi da się wysłowić! Od kuli z moździerza!... Widzi pani, że obok są ślady opalenia!... Bo to była kula eksplodująca!... To cud prawdziwy, że się wtedy uratował, a zawdzięcza to, że płaszcz był watowany, a pod spodem miał futerko!... Zresztą Kazia może poświadczyć!...

— Tak proszę łaski pani! Jak pan wrócił, to mówił, że płaszcz wisiał na płocie, bo się suszył i wtedy go przestrzelili...

— Tak przerwała pani Luiza z irytacyą.— Ale gdyby tam był wtedy wisiał i mój mąż, byliby go też przestrzelili... Idź Kaziu do roboty!... Miałam nawet takie dwie kule z trzydziestocentymetrowych moździerzy, które Lolek przywiózł... Schowałam je do pudełka ze zapałek i gdzieś się zapodziały!... Byłabym je dała teraz na zbiórkę broni, bo to Ojczyźnie trzeba śpieszyć z pomocą!... Mój Lolek to bohater!... I jedyne odznaczenie, jakie wyniósł z wojny, to ta blizna na twarzy!

— Więc to nie od ucięcia brzytwą?... Miał je pan Karol już przed wojną!...

— Tak!... Ale z drugiej strony!... Tamta zniknęła, została tylko ta i to jego chluba i dowód męstwa!...

Gwizdalska spojrzała na zegarek i zabrała się do wyjścia, tłumacząc się bardzo ważnym interem, w gruncie zaś rzeczy spiesząc się w odwiedziny do Guzdralskich, by przypadkiem bez niej nie siedli do kolacyi!...

A dziś miała taki apetyt!... Zresztą świerzbił ją już język i musiała komuś opowiedzieć o operacyach wojennych pana Karola...



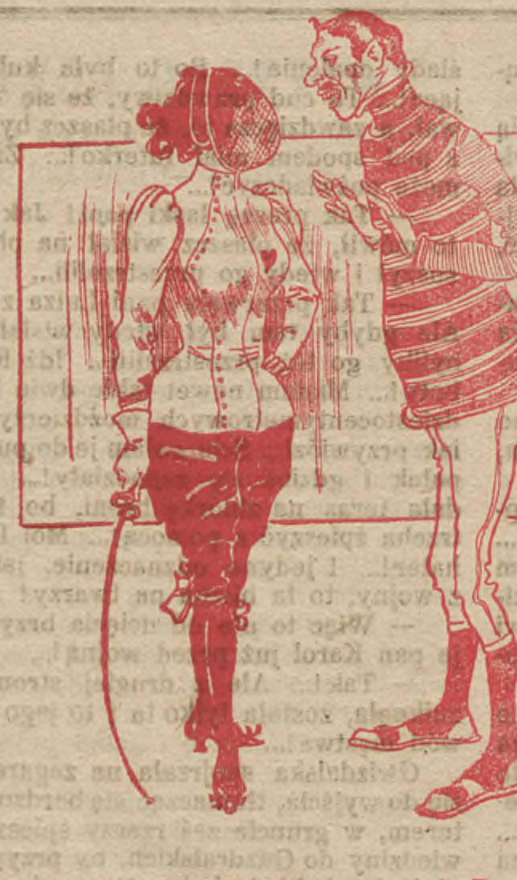
On: Czy w twej przeszłości nie ma żadnej plamy?

Ona: Jest, ale przed miesiącem oddałam ją na wieś!



On (*podejrzliwie*): Ty coś kryjesz przede mną.

Ona: Choćbym co ukryć chciała — ty znasz wszystko!



— Przy fechtunku jest zasada: Z oczu przeciwnika wnioskuj o jego zamiarach.

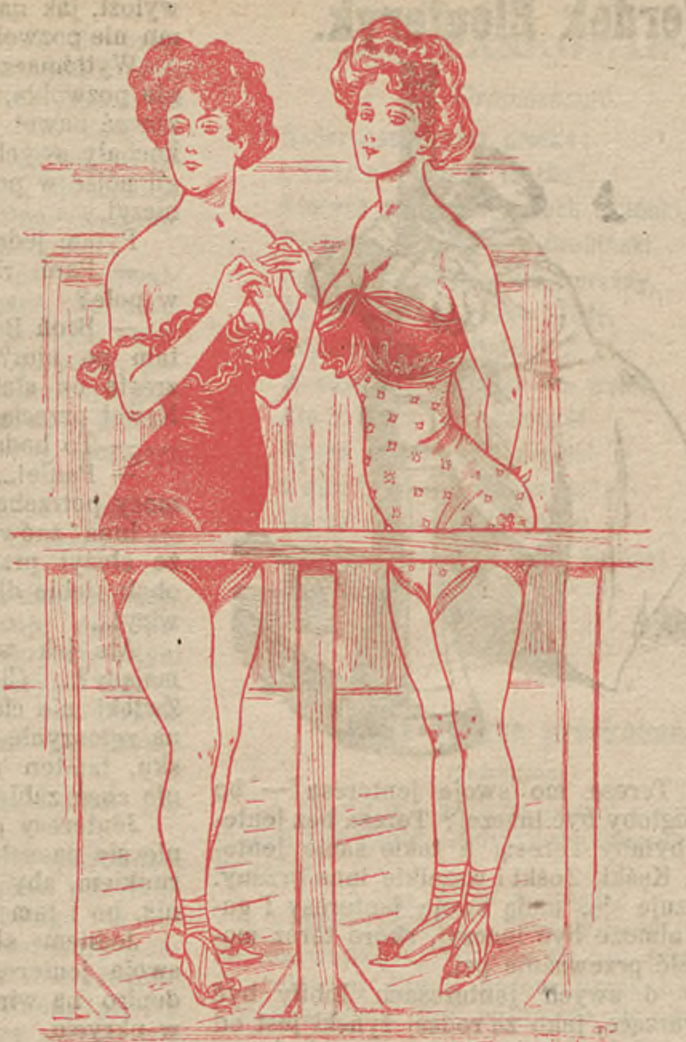
— Pańskie ruchy, panie profesorze, są nawet bez spojrzeń dość wymowne!



— Kup mi tę kolię! Będę ci wdzięczna całe życie, a już co najmniej trzy razy!



— Bądź zdrowa Helciu!... Żona czeka na mnie!
— A nie będzie zazdrosną?
— O, nie!... Ona wraca także ze schadzki!



Między artystkami.

— Czy już masz engagement?
— Mam czas!... Dyrekcya pertraktuje obecnie z Ryczywolską, ale jej głos jest niczem w porównaniu z mojemi łydkami!



— Zapomniałaś już o 11-em przykazaniu?
— Wiem tylko o dziesięciu! Jakież jest jedenaste?
— Nie będziesz przyprawiała rógow mężowi twojemu!



— Proszę cię, mężu, oddal się!... Mam migrenę i chcę być samą, tem bardziej, że oczekuję tu twojego szefa!

Ferdek Eleuteryk.



Kużdo Teresa mo swoje jenteresa — bo i jakże mogłoby być inaczej? Teresa bez jenteresu, nie byłaby Teresą, a takie same jenteresy mają Kaśki, Zośki i wszelkie inne brzany. Ale, pokazuje się, mają swoje jenteresy i gawry, bo i nimoże być inaczyj, skoro teroz momy równość przeważnie pci.

Brzany o swych jenteresach lubiły być zawdy gwarzące, jako że rodzaj żyński jest od tygo, aby godoł, męskie jenteresy wylazły na wirzch dopiro teroz, kiedy nie jadaczkami, ale czynem trza stwierdzić, że sie jest obewatelem i że sie chce spełnić swój obowiązek, spiesząc Ojczyźnie z pomocą.

„Mienie i życie dla Ojczyzny!"... — woło kużdy aż ochrypnie, ale tak se to karkuluje, że to inni mają zrobić, a on poczeko, aż na niego przyjdzie kolej. Co najwyżyj gotowy jest należeć do jakigo kumitetu, jak ta ochwiarno brzana, któro co niedziele goni z puszką po ulicach, sama od siebie ani chopa nie dająca!

Zaczyło się od pożyczki odrodzynio. Jest czas dla kużdygo kapitalisty bardzo klawy i pewny, ale pokazało się, że ci, co mają najwincyj i najwincyj mogliby być dający, mają inksze fajansowe interesy i hopy swoje ulokowali gdzieindziej. oświadczyli, że mogą służyć swoim doświadczeniem, ale nie gotówką.

„Neutralnym" się nie dziwuję, bo oni mają zgryza, nie mogący jechać do Palestyny, a to skróś tygo, że tutaj mają swoje jenteresy, a bez nich, jak ryba bez wody żyć są nimogący. Dała im Palesstynę koalicyjo, ale zapomniała tam naprzód gojów być wysyłająca, aby gudłaje mieli kogo być operujący. Samym ze sobą jakoś to nie idzie. Nie bedzie żydoskigo króla, jakigoś Mośka albo Sróla, bedzie zato jakiś Tajzel arabski. Skróś tygo, że gudłaje są jedną nogą w Palestynie, a drugą w Polsce, uważają się za nautralnych i na pożyczkę nie są dający, zreśtą powiadają, że to nie jest żoden jenteres, bo co to jest pinć procent, kiedy oni robią geszefty na pinćset i więcej.

Biedronie tyż nimają wielgiej ochoty sięgnąć do skrzyni, gdzie mają tyle hopów co dawnij śmieci, bo — gwarzą — skoro Polska mo być chłopska, to ciarachy od tygo są, aby dawały, a chłopy od branio. Zreśtą kużdymu z nich łazi po głowie jakiś jenteres i o pożyczce nima czasu być myślący.

Ostają zatym gołe dymokraty czyli proletaryat jenteligencyji. Ci daliby, ale jenteresy im nie pozwalają. A są one tygo rodzaju, iż mu ledwie na życie starczy. Do pitnastygo w kużdym misiącu taki urzyndniczyna ledwie dycho, a po pietnastym całkim zdycho i sam sie jest za jakowąś pożyczką oglądający.

Przyjńdzie pożyczka przymusowo, skrupi sie i na nich, bo tamtym, o których stało wyżyj, nikt nie udowodni, ile mają hopów i gdzie są zlokowane, w jakim jenteresie, gdy tymczasem kużdy wie, ile ze sztajerbanku oostaje co misiąc papirów, syndzia lub urzyndnik.

Przy wszystkich świadczeniach fajansowych na rzecz Ojczyzny, kapitalisty chowają się w mysią dziurę, bo tak mu koże własny jenteres.

To samo powtórzyło się, gdy wezwano do służby wojskowej obewateli. Znów kużdemu wylozł, jak na załowanie, jakiś jenteres, który mu nie pozwolo do zgłoszynio się do szeregów. Wytłómaczeni są jedynie ci, którym baba nie pozwoliła, bo od jej orzeczynio nimo rukować nawet na główny verlag. Tak nagle pokochały swych mężów, że ani myśli, aby mogli pójść w pole, albo choć do służby pomocniczyj.

Pytam jedną z nich:

— Pani radczyni swojigo męża wysyło w pole?

— Broń Boże!... — odpowiedziała. — A co tam po nim?... W wojsku nigdy nie służył, zreśtą on słabowity i ni może się narażać!... Nawet przeciąg mu szkodzi!

— To bodaj do służby pomocniczy!

— Panie!... On taki niedołęga, że sam pomocy potrzebuje!...

Inna znów nie pozwala swojimu dlatygo, że służył przy wojsku, a ona go musi mieć obok siebie dla obrony, gdyby przyśli bolszewicy!...

Ale jak wyglądają ci, którzy bab nie są mający?... Ci znów mają różne jenteresy. Zwłoki nie cierpiące, które nie pozwalają im na zgłoszynie sie do służby. Ten robi w pasku, tamton mo żniwa, inny poszedłby, ale nie chce zabirać mijsca naszym.

Jenteresy pozwalają co najwyżej do oddanio sie na usługi jakigo kumitetu, ale pod warunkiem, aby nie trza było łazić na posiedzynia, bo i tam interesy włażą w drogę.

Jednem słowem, nie tylko brzany mają swoje jenteresy. Mają je i gawry i teroz im dopiro na wirzch powyłaziły, dotąd siedzące w ukryciu.

Spyta kto może, dlaczygo jo dotąd jeszcze w cywilu, to mu odpowiem, że mi także jenteres nie pozwolo na zgłoszynie. Wszyscy nimogą pójść w pole, musi ostać bodaj jedna istota rodzaju męskigo, ktoraby sie opiekowała gdowami i siostrami, czyli tak zwany wojski. Otóż jo o posade wojskigo w Krakowie jestem sie starający. Myślałem, że ostanę wojewodą, ale tym czasem pokozało sie, że pon Tetmajer mo wincyj protekcyi i że on nim bedzie, jako że tam malaryjo górą. Przed maljarzem, co mo wszystko w kupie, w kąt taki jak nieprzymirzający ani palcem pokazując, literata, jak jo, u którygo wszystko *ausajnander!*

Skutki nieuwagi.

Pani profesorka wykładała swym uczenicom historyę. Mówiła właśnie o królu francuskim Henryku IV., który zawsze opowiadał, że jedynem jego marzeniem jest, aby każdy z jego poddanych mógł przez tydzień tyle zarobić, aby w niedzielę miał kurę w garnku.

Nagle zauważyła, że panna Zosia jest czemś innem zajęta. Pyta więc z nienacka:

— Panno Zosiu!.... Co powtarzał Henryk IV?....

— Henryk IV..... powtarzał.... — stękała panna Zosia, czekając na ratunek ze strony koleżanek.... — Aha!... Już wiem proszę paniusi!... Henryk IV. powiadał, że każdy wieśniak musi przez cały tydzień tyle narobić do garnka, aby z tego w niedzielę była kura!....

Nasze dzieci.

Za dawnych, lepszych czasów, gdy nasze panie nosiły tiurniury i to nieraz tak potwornych kształtów, że wygodnie można było tam położyć kapelusz, a nawet usiąść, zdarzyło się, że do państwa X-ów przybyła z prowincyi kuzynka, aby w Krakowie odbyć zwykłą słabość.

Mała Zosia, córka państwa X-ów widząc ciocię „w takim stanie", rzekła cichutko do mamy:

— Mamusiu!... Ciocia się pewnie pomyliła i wdziała tiurniurę z przodu!....





Nie zgadła.

Podczas lekcyi katechizmu pyta ksiądz katecheta małą Stasię:

— Czemże więc człowiek może zgrzeszyć?..

— Myślą, mową i... — odpowiada na to, ale dalej ani rusz...

Chcąc jej dopomódz, pokazuje ksiądz katecheta palec:... No... i... i..

To pomogło, gdyż zapytana recytuje: Myślą, mową i... paluszkami!....

Najgłupszy napój.

— Kawa to strasznie głupi napój!... Najpierw się ją pali, aby była czarna, potem dodaje śmietanki, aby zbladła, miesza z cykoryą, by była gorzka i dodaje cukru, by ją osłodzić. Nakoniec grzeje się, by była ciepła, a potem dmucha, by ostygła!....

Z komunikatu.

Samobójstwo: Wczoraj popołudniu odebrał sobie życie wystrzałem z karabinu w swem mieszkaniu porucznik X. Powód samobójstwa nieznany. Kula strzaskała głowę denata, następnie przebiła sufit i krzesło, na którem właśnie siedziała panna Y. przy fortepianie. Panna Y. wyszła bez szwanku, kula utkwiła w ręce nauczyciela muzyki.

Dobre i na zimno.

Stary Jojne idąc zimową porą przez Plac Szczepański, widzi, jak przekupka urządza sobie „centralne ogrzewanie", ulokowawszy się odwrotną stroną medalu na garnku z węglami. Stanął, pokręcił pejsy i rzekł do siebie:

— Nu!.... Poco ona to grzeje?... To i na zimno jest dobre!....

Z rozmów podlotków.

— Ogromnie szykowny jest ten twój nowy narzeczony!... Bardzo lubię patrzeć na mężczyznę w cienkiem, jedwabnem ubraniu!.... Zdaje się, że się widzi każdy jego muskuł!.... A ja przepadam za ludźmi muskularnymi!

— A gdybyś jeszcze wiedziała. jak mu do twarzy w kolorowej nocnej koszuli!...

Z astronomii.

— Co to jest tiurniura?

— Chmura zasłaniająca księżyc w pełni.

Andrusowski humor.

Staszek, spotkawszy na plantacyach niewiastę o nieco rozszerzonym obwodzie w pasie, pyta:

— Przepraszam za moją śmiałość! Panienka musi być już po zaręczynach?

Między kobietami.

(Podsłuchane).

— I co dałaś za tę bransoletkę?

— Pfe!.... Jakże można stawiać tak nieprzyzwoite pytanie!....



Z listów Hermogenesa Klapy.

Kochana Redakcyo!

Czasy się zmieniają, zmieniają się i ludzie. Dawniej cesarz Wilhelm podróżował, a wielcy politycy siedzieli na... dużych krzesłach, dziś Wiluś siedzi, a mężowie stanu kręcą się, jak gdyby im kto wetknął piórko z żywem srebrem tam, gdzie niepotrzeba. Patrząc na takiego Lloyda George'a jak się tłucze po Europie, nikt nie powiedziałby, że to poważny mąż stanu, który trzęsie całym światem (ale tylko w kierunku wschodnim...) lecz jakiś rajzender, który wraca oknem, gdy go za drzwi wypchną.

Ponieważ i ja, choć nie jestem krawcem z zawodu, uważam się za „męża stanu", nie czynię inaczej. Rzemiennym dyszlem objeżdżam teraz Europę, poczem rozpocznę *tourneé* artystyczne po Europie, gdyż obiecałem Wilsonowi, że go nie opuszczę w kampanii wyborczej, aby mu się w ten sposób odwdzięczyć za te plebiscyty jakie, dzięki jemu, spadły nam na kark i dokuczają, gorzej niż czyraki, porównywane czasem z c. k. inspektorami podatkowymi.

Kiełbasę wyborczą zaczynają już sporządzać w Ameryce, wobec tego ograniczono dowóz żywności do Europy, wiedząc zresztą o tem, że z powodu gorąca mniej się je w lecie, zresztą „w biedzie żre dyabeł muchy", a much mamy dość, więc jest czem głód zasppokoić, gdy bieda dokuczy. Republikanie przygotowują swoją kiełbasę, demokraci swoją, która będzie smaczniejsza, okaże wynik wyborów. Jak się dowiaduję, ma Wilson zamiar zaprosić z Krakowa kilka znanych hyen wyborczych w charakterze instruktorów. Zwrócił się do mnie o pośrednictwo, wobec czego zechcą reflektanci składać na me ręce zgłoszenia i podać warunki. Wobec zapowiedzenia regularnego ruchu Zeppelinów przez Atlantyk, komunikacya z Ameryką ułatwiona. Należy się pospieszyć, gdyż na wrzesień mam zamiar wybrać się do Ameryki, a sprawa musi być przedtem załatwiona.

Jako mąż stanu kręcę się narazie po Europie niczem owa kura, chcąc znieść jajo. Ze Spaa wstąpiłem do Boulogne, gdzie Lloyd George miał się znowu spotkać z Millerandem (zdaje mi się, że oni muszą tam mieć jakąś brzanę!...), potem wstąpiłem do Paryża, aby wziąć udział w konferencyi ambasadorów, stąd czeka mnie droga do Łomży, gdzie znowu zjazd (Lloyd George, Millerand, Gislitti i ja) wreszcie o ile nie stanie nic na przeszkodzie, powrót do Londynu i oczekiwanie na bolszewików.

W Paryżu załatwiłem Wam sprawę cieszyńską, spiską i orawską, sądzę, że jesteście z tego zadowoleni i obmyślicie dla mnie dar narodowy, jako widomy dowód wdzięczności. Przyjmę cokolwiekbądź, byle dużo. Wychodziłem z tego założenia, że im mniej dostaniemy obszaru, tem mniej będziemy mieć z nim kłopotu. Tej samej myśli byli i członkowie konferencyi, więc sprawa poszła, jak mówi mój przyjaciel Petlura *w try migi*.

To, co pisma podają o stanie Lloyda George'a to prawda. Jest bardzo zmęczony i osłabiony. Obecnie, jak sam powiada, łażą mu bolszewicy po głowie: szczególnie dokuczają mu dwa czyraki, nie pozwalające mu siedzieć. Zrobiły mu się naturalnie nie na karku, w każdym razie od tyłu, ale nieco niżej. Ciekawe swoją drogą są te czyraki, że one z taką predylekcyą atakują przeważnie oficyny... Dziwię się, że Dr Klęsk nie popełnił o tem dotąd jeszcze w *Kuryerku* naukowej rozprawy.

Co się tyczy owych czyraków Lloyda George'a, to ten lewy jest indyjski, prawy irlandzki. Zdawało się, że przybyły specyalnie w tym celu z Moskwy Dr Krasin pomógł mu radykalnie na indyjskiego czyraka, zapisując mu jakiś plaster, równocześnie jednak nastąpiło pogorszenie po stronie prawej, co jest dowodem, że nietylko gruczoły stoją ze sobą w ścisłym związku, ale i czyraki.

Jestem niepocieszony! — mówił do mnie Lloyd. — Nie wiem, co mam ze sobą zrobić, bo nie mogę chodzić, nie mogę leżeć, nie mogę wstać. Ostatecznie mogę leżeć, ale do góry odwrotną stroną medalu, a więc chyba, że jeżeli się w ten sposób rano wstaje, nie wiedzie się przez dzień cały!... Tem też tłómaczę sobie moje niepowodzenie... Radź, co począć!...

— Jest jedna rada — ja mu na to poważnie — kto nie może chodzić, leżeć, ani stać, ten się powinien powiesić... Choć może spróbowalibyśmy metody ogłoszonej w *Kuryerze*. Każesz sobie podwiązać jaki niepotrzebny gruczoł, a odmłodniejesz. Czyraki znikną, bolszewiki przestaną ci łazić po głowie, uczujesz chęć do zabaw z młodemi...

— Pewnie chciałeś powiedzieć „pannienkami"... Mój Boże!... Minęli już te czasy i nie wrócą!

— Ejże!... Ja będąc na twoim miejscu zaryzykowałbym!... Chirurgia dokazuje dziś poprostu cudów... Nie czytałeś w *Kuryerze* o tym chirurgu z Chicago, który przyczynił się do zrównania płci na prawo i lewo i przerabia kokoszki na koguty... Potem ma się zabrać do ludzi...

— W *Kuryerze* stało, o ile pamiętam, „do świń"...

— Tak!... On doświadczenia przeprowadzał na pewnym punkcie, a to przecież wszystko jedno. Słyszę, że ten chirug z Chicago ma kolosalną praktykę... Zgłaszają się doń kury z całego świata z prośbą o przenicowanie... Każdej imponują pióra w ogonie, grzebień, piękny głos... Pokazuje się, że się kury niczem nie różnią od kobiet, którym tylko stroje w głowie!...

— Tak!... Ale te przerobione kury jaj nie znoszą, a w obecnych warunkach jaja to grunt.

— I to prawda!... Jaja skutkiem tego poszły w Ameryce w górę, ale proszę sobie, wyobrazić, ile natomiast urządza się, nie potrzebując kupować zegarków. bo koguty pieją o północy...

I ty sądzisz, że taki przerobiony z kury kogut będzie punktualny?... Ani myśli, zostanie mu coś z kokoszej natury i z pewnością będzie się stale spóźniał!...

— Nie oponuję!... Bardzo być może!... W każdym razie chciałbym widzieć taką przemienioną w mężczyznę kobietę.

Na ten temat rozmawialiśmy długo i szeroko. Doszedłem do przekonania, że w niedługim czasie możemy się spotkać w naszych pismach z następującym anonsem:

„Biedna panienka, chcąca zmienić rodzaj, a nie mająca na to odpowiednich funduszów, zwraca się o pomoc do takiego mężczyzny, który już zrezygnował z przyjemnosci życiowych"... W tym celu ogłoszą specyalną zbiórkę, ja przecież przyznam się, że na ołtarzu ofiarności publicznej nie złożę żadnej części ciała, choćby rozchodziło się o najpiękniejszą panienkę.

Ale ja zajmuję się głupstwami, a zapominam o polityce, która daje mi chleb. *Kuryer* zapowiada na najbliższy czas trzy wojny, my z Lloydem George naliczyliśmy spodziewanych (ale jeszcze nie zgłoszonych!...) trzydzieści siedm. Mamy je rozpatrzyć na najbliższem posiedzeniu Ligi Narodów, które można prowadzić, a którym trzeba dać spokój.

Na razie mam zamiar kilka dni odpocząć i wziąć w parni parę nasiadówek, może to pobudzi moją fantazyę... O!... Ja muszę zrobić coś wielkiego, co świat wprowadzi w osłupienie!...

Na razie żegnam Was! *Klapa.*

„Artamos".

Jest rzeźnicka pewna spółka
Co rżnie świnie,
Nie jedynie!
Rżnie i ludność...
Czy to sztuka? Czy to trudność?
Wszak kto żyje, ten jeść musi,
Więc „Artamos" rżnie i dusi
Biednych ludzi...
Nim sumienie w nim się wzbudzi,
Będzie — co nie dziwne wcale
Wkrótce siedział w kryminale!

„KOCHANKOWIE".

W. Grabińskiego.

Nader sensacyjna gratka:
„*Taki syn i jego matka*",
Których miłość w sposób świński,
Przedstawił nam pan Grabiński.
Ach! wiedzieliśmy już wprzódy,
Że są w życiu różne brudy,
Kryminały i szpitale,
W czem dziwoty nie ma wcale.
Ale z życia tych kazamat
By na scenę robić dramat
I dać tytuł „Kochankowie" —
Na to chyba każdy powie
Że masz talent dziwnie świński
Mój Grabiński!...

Nagła zmiana przekonań.

(Podsłuchane).

— Nigdy nie byłbym nawet przypuścił, że można tak nagle i radykalnie zmienić swe przekonania!

— I cóż tam znów nowego?

— Nie czytałeś?... Jenerał Szeptycki zapadł na czerwonkę!.. I ktoby to był powiedział!... Do ostatniej chwili byłem przekonany, że to konserwatysta, dziś widzę, że się pomyliłem!...

NADESŁANE.

Właściciel wydawnictwa: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpowiedzialny redaktor: [illegible] Drukarnia [illegible] w Krakowie pod zarządem Stefana Kraczmarskiego.



— O luba!.. Na łonie natury przysięgam ci...

— Dej pan spokój!... W tamtym tygodniu nabawiłam się z tych przysiąg fatalnego ka'aru na tej wilgotnej łące!...